

## Artystyczny genius loci Zielonej Góry

Z profesorem Stanisławem R. Kortyką z Instytutu Sztuk Wizualnych rozmawia dr Lidia Głuchowska.

### **L.G. Panie Profesorze, z Zieloną Górą jest Pan związany od 1992 roku, czyli niemal od 20 lat. Czy Pana zdaniem istnieje tu swoisty genius loci?**

S.R.K. Kiedyś Zielona Góra była dla mnie miastem tajemniczym. Wstyd przyznać, zanim rozpocząłem pracę w tutejszej uczelni, nigdy tu nie byłem. Wiele się o tym mieście mówiło i pisało w latach wystaw „Złotego Grona”, które po słynnym „Arsenale” w 1955 roku, uznano za jedno z ważniejszych wydarzeń artystycznych lat 60. i 70. Wówczas studiowałem jeszcze we Wrocławiu, w pracowni malarstwa i rysunku prof. Zbigniewa Karpińskiego, uczestnika tych wystaw. Jak to zwykle bywa, nawet po wielu latach, aura wielkich wydarzeń trwa, choćby w artystycznej świadomości następnego pokolenia. To do nich wciąż się odwołujemy, tak jak do legendarnego już „Arsenału”, próbując nawiązywać do tradycji. Coś, co było ważne, nie tylko dla określonego środowiska, pragnie się kontynuować. Myślę, że taka idea przyświecała organizatorom wielu późniejszych wystaw jak „Biennale Sztuki Nowej”. To były bardzo interesujące wydarzenia, które poświadczały wyjątkowość Zielonej Góry na artystycznej mapie Polski. Zresztą, nie tylko w dziedzinie plastyki.

Moja przygoda z tym miastem zaczęła się już w momencie pewnego wyciszenia się artystycznych napięć dekady lat 80. Tłumaczę to tym, że wychodziliśmy wtedy z tych bardzo ponurych lat, gdy sztuka właśnie – tak własna twórczość artystyczna, jak i dydaktyka – okazywała się prawdziwym azylem swobodnego myślenia. Sądzę, że pod każdym względem, było to mimo wszystko, zbawienne. W jak dziwnym, i niejako rozdwojonym, świecie żyliśmy potwierdzają choćby dwa zdarzenia, które chciałbym wspomnieć w tym kontekście. Niegdyś, w latach 60. i 70., związany byłem z wrocławskim środowiskiem literackim. Czytaliśmy swoje teksty na różnych spotkaniach, ale też „mamrotało” się je w miejscach szczególnych. I tak choćby z Bernardem Antochewiczem (kapitanem MO!), serdecznym i zaufanym kolegą, bardzo dobrym poetą i tłumaczem poezji niemieckiej m.in. Rilkego, pokazywaliśmy sobie ostatnio napisane wiersze... na zapleczu głównego ołtarza wrocławskiej katedry na Ostrowie Tumskim... Tam było naprawdę cicho i spokojnie.

Inny paradoks odsłania historia z 1986 roku, gdy miałem spore problemy z wyjazdem na wernisaż mojej wystawy w Salzburgu. Wreszcie byłem już na miejscu, a obrazy zawisły na na ścianach. Wówczas wieczorną porą zjawił się pewien pan, który całość obejrzał i gdzieś zatelefonował, stwierdzając: „Wszystko w porządku”. Tylko tyle. Nazajutrz m.in. on dokonywał otwarcia wystawy. A tak na marginesie – wernisaż ten zaszczylicili swoją obecnością ówczesny prezydent Austrii Kirchschräger i będący tu z wizytą prezydent Senegal Diouf z niezwyklej wprost urody żoną, której trzeba było objaśniać każdy niemal obraz. Coś podobnego nigdy później nie mogło się zdarzyć.

### **L.G. Wróćmy jednak do Zielonej Góry, Panie Profesorze. Jak to wszystko się zaczęło?**

S.R.K. Otóż pewnego dnia zadzwonił do mnie prof. Antoni Zydrón z propozycją – jedną z tych nie do odrzucenia – bym poprowadził pracownię malarstwa w utworzonym właśnie Instytucie Wychowania Plastycznego w ramach Wydziału Pedagogicznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Tadeusza Kotarbińskiego. Poprosiłem o czas do namysłu, gdyż podobną

oferotę otrzymałem wówczas od Antoniego Fałata tworzącego Europejską Akademię Sztuki w Warszawie. Odpowiedź musiała być jednak niemal natychmiastowa. Jak pamiętamy, prof. Zydrzeń, świetny artysta, pierwszy dyrektor Instytutu, był człowiekiem niezwykle ujmującym, ale stanowczym i konsekwentnym. Po jego telefonie zaczęły się więc moje cotygodniowe wyjazdy do Zielonej Góry. Bez jakiegokolwiek kolizji czasowej nadal prowadziłem pracownię malarstwa i rysunku we wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Tu, w Zielonej Górze, początki akademickiego kształcenia artystycznego były skromne – tak pod względem lokalowym, jak i programowym. Kto mógł wtedy przypuszczać, że z biegiem lat, po wielu zmianach nazw Instytutu i jego rozbudowie, ale też po trudnych momentach w jego rozwoju, będzie on liczącą się w polskim wyższym szkolnictwie jednostką, z poważnym dorobkiem dydaktycznym i artystycznym. Myślę, że w pełni ziściła się idea, która przyświecała twórcom Instytutu, do których należeli choćby tak znani artyści jak Zbigniew Horbowy, Andrzej Gieraga, Jan Berdyszak. Prof. Berdyszak na wiele lat związany był z Instytutem jako artysta i pedagog. Gdy zaglądam do własnej gromadzonej od samego początku fotograficznej dokumentacji końcoworocznych wystaw, a ogranicza się ona tylko do jednej pracowni, zdumiewa mnie twórczy potencjał tkwiący w studentach, ich artystyczny rozwój. Myślę, że on właśnie jest najlepszym, a może jedynym, środkiem kojącym stresy związane z najtrudniejszymi chwilami Instytutu. O tym należy pamiętać. Warto przypominać o sukcesach jego wychowanków, zdobywających najwyższe nagrody na ogólnopolskich wystawach: w Konkursie im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu czy spektakularnych Konkursach na Obraz Roku w Warszawie, na którym rok po roku nasi wychowankowie zdobywali główne nagrody. Szczególnie wspomnieć też należy sławny duet artystyczny „Sędzia Główny” czy obecność naszych absolwentów na licznych krajowych i zagranicznych wystawach.

**L.G. Zieloną Górę postrzega się często jako miejsce szczególne ze względu na fakt stykania się tu wielu kultur. Jaki ma ono wpływ na sztukę minionych lat? Jak odczuwa Pan np. historyczny kod dawnej tutejszej architektury i urbanistyki? Czy zderzenie Orientu i Okcydentu w sztuce nowej jest jeszcze dostrzegalne i inspirujące?**

S.R.K. Obecnie nastąpiło już zatarcie granic tych obszarów, które w przeszłości stanowiły o bogactwie naszej kultury. Czy jednak może nie mieć znaczenia choćby fakt, że oto w latach 50. zbiegają się w jednym miejscu artystyczne drogi takich twórców jak przyjeżdżający z Gdańska, po dalszych studiach w Toruniu, Klemens Felchnerowski i urodzony na wschodzie, po studiach w krakowskiej Akademii, Marian Szpakowski – bardzo ważne postaci zielonogórskiego środowiska. Jest i konkretny przykład, znany mi z autopsji, z mojej praktyki dydaktycznej, z pozoru niezupełnie a propos, jednak odzwierciedlający dzisiejszy dialog kultury Wschodu i Zachodu, poza wąskim kontekstem politycznym. Niedawno studiowała w mojej pracowni malarstwa dziewczyna arabsko-polskiego pochodzenia. Chciała wyrazić to, co robi tu i teraz, jednocześnie nie mogąc wyzwolić się całkowicie z kultury i obyczajowości arabskiej - z zakazu przedstawiania człowieka. Dziwnie to brzmi! W efekcie powstawały prace zgodne z tamtą tradycją, jednak i z wyraźnymi cechami krytycyzmu wobec hierarchiczności społeczeństwa. Dla mnie było to fascynujące doświadczenie dydaktyczne, uwieńczone interesującymi pracami, które pod względem czysto formalnym – estetycznym, bez wątpienia należały już do naszego kręgu kulturowego. W dyplomowej pracy wspomnianej studentki – w jej świetnej ceramice –doskonale kumulowały się oba pierwiastki kulturowe.

**L.G. A jakim kodem przemawia do Pana zielonogórska architektura?**

S.R.K. Jeśli chodzi o doświadczenie wzrokowe odnoszące się do architektury, to muszę przyznać, że po Wrocławiu, który powstawał niemal z rumowiska i w którym bardzo wyraźnie

odczytywało się niemieckie i żydowskie ślady w obiektach niezwyklej wprost piękności, Zielenka Góra sprawiała wrażenie prawie nienaruszonej czystości i architektonicznego porządku. Zachwyca tu, mimo działania czasu, architektura pałacykowo-willowa czy przemysłowa, być może również dzięki jej skupieniu na dość niewielkim obszarze. Inaczej widzą to jednak mieszkańcy dla których być może to oczywistość, a inaczej przyjezdni, postrzegający choćby tutejszy deptak niemal jak promenadę w kurorcie.

**L.G. Żyjemy, by odwołać się do słów Martina Heideggera w „czasie światobrazu”, czy by użyć pojęcia Mieczysława Porębskiego w dobie dominacji obrazu – ikonosfery. Czy sądzi Pan, że mimo to nadal można mówić o inspirującej sile innych sztuk w odniesieniu choćby do malarstwa czy designu?**

S.R.K. Zstępując z wyżyn subtelnych filozoficznych dociekań, gdzie świat bywa pojmowany jako obraz i „świat staje się obrazem”, jesteśmy bliżej tego, co tak wnikliwie zanalizował Mieczysław Porębski. Właściwie już w latach 70., po doświadczeniach konceptualizmu, nie było prawie złudzeń co do kondycji tzw. sztuki czystej – malarstwa czy rzeźby. Jak więc bronić tych form wypowiedzi we wszechogarniającej nas mnogości ciągle zmieniających się zgiełkliwych obrazów kultury masowej, reklam i natłoku wszelkiego rodzaju informacji? Na szczęście, obok tego, co miało zastąpić czyste dyscypliny sztuki, a więc fotografii, filmu, telewizji, video, obok wszelkiego rodzaju działań o charakterze performatywnym, właśnie malarstwo ma się wciąż całkiem dobrze i wcale, wbrew różnym wcześniejszym prognozom, nie zamierza umierać. A to, że i ono czerpie, albo wręcz żywi się niekiedy tym, co zawiera się w całej wspomnianej tu „ikonosferze”, może świadczyć o jego żywotności.

**L.G. Jaki jest więc sens uprawiania malarstwa, również na poziomie studiów ?**

S.R.K. Jeśli nawet teza dotycząca kondycji malarstwa może być trudna do obrony, pozostaje jeszcze przekonanie i wiara w naturalną skłonność do obrazowania w dążeniu do tajemnicy malarskiego przekazu, również na poziomie studiów. Zaryzykuję twierdzenie, że właśnie malarstwo, jak żadne inne medium może dostarczać prawdziwie głębokich wzruszeń. Myślę, że o ile malarstwo, obok cech doraźnego niekiedy komunikatu (wystarczy przywołać tu choćby obrazy tzw. „nowych dzikich” z lat 80.), ma raczej charakter kontemplacyjny, o tyle sztuka projektowania, siłą rzeczy, w znacznie większym stopniu staje się znakiem czasu, niemal bezpośrednią, bardzo często niezwykle wysublimowaną, formą „dialogu” z innymi dyscyplinami sztuki. Są to więc, mimo pokrewieństw formalnych czy genezy, poniekąd obszary osobne.

**L.G. A co stało się dziś w dobie internetu i komunikacji wirtualnej z immanentnymi wartościami sztuk wizualnych – fakturą, zapachem, wartościami haptycznymi?**

S.R.K. Dla mnie internet i bezpośredni kontakt z dziełem sztuki to dwie odrębne sfery wizualnych doznań. W tę pierwszą raczej nie wchodzę, choć potrafię wyobrazić sobie na zasadzie poetyckich skojarzeń jej niedotykalną strukturę. Już wiele lat temu, odwołując się do *licentia poetica*, Arnold Słucki w tomie swoich wierszy „Faktura światła”, próbował uzmysłowić sens tego określenia. Mówi się też często o dźwiękowej fakturze w utworze muzycznym.

**L.G. A immanentne wartości sztuk wizualnych?**

S.R.K. Sądzę, że to jest istota ich artystycznego języka. Poza samym komunikatem, jakąś treścią w potocznym rozumieniu – faktura, barwa, połysk, walor, i co nie do przemilczenia w

dobie przeskalowań medialnych – autentyczny wymiar określonego dzieła sztuki – to wartości, których w czysto sensualnym wymiarze, nie da się zastąpić. Oczywiście w sytuacji, gdy wbrew wszelkim przeciwnościom, sztuki czyste, poniekąd elitarne, traktuje się jako wciąż nośny sposób artystycznej wypowiedzi.

Ja jestem przekonany o wyjątkowości doświadczenia sztuki jako niepowtarzalnego, unikalnego fenomenu, można by rzec z pogranicza poznania rzeczywistości materialnej i metafizyki. I ciągle sobie zadaję pytanie...

... czy w czasie tych czterdziestu już prawie lat pracy, w tak delikatnej materii jaką jest artystyczna dydaktyka, potrafiłem, zachowując w pewnej mierze tradycyjne spojrzenie na malarstwo, nie zamykać jednocześnie spojrzenia na to, co właśnie w dobie nowych mediów, może być artystycznym atutem dla opuszczających pracownię malarstwa absolwentów. Nie byłbym też w porządku wobec siebie, gdybym po dwudziestu latach pracy w Instytucie nie pytał o jego dalsze dzieje. Mam nadzieję i przekonanie, że to, co dokonało się tu za sprawą tylu wybitnych indywidualności artystycznych i dydaktycznych – będzie kontynuowane.

Potencjał, jakim dysponuje obecnie cały Wydział Artystyczny, to nie tylko studenci i wykładowcy, lecz i doskonale działająca przy Bibliotece Sztuki Galeria Grafiki, prezentująca od lat prace wybitnych grafików z całej Polski i stale powiększający się zbiór Kolekcji Artoteki Grafiki.

Osiągnąć minionych dwudziestu lat nie wolno nam zaprzepaścić.